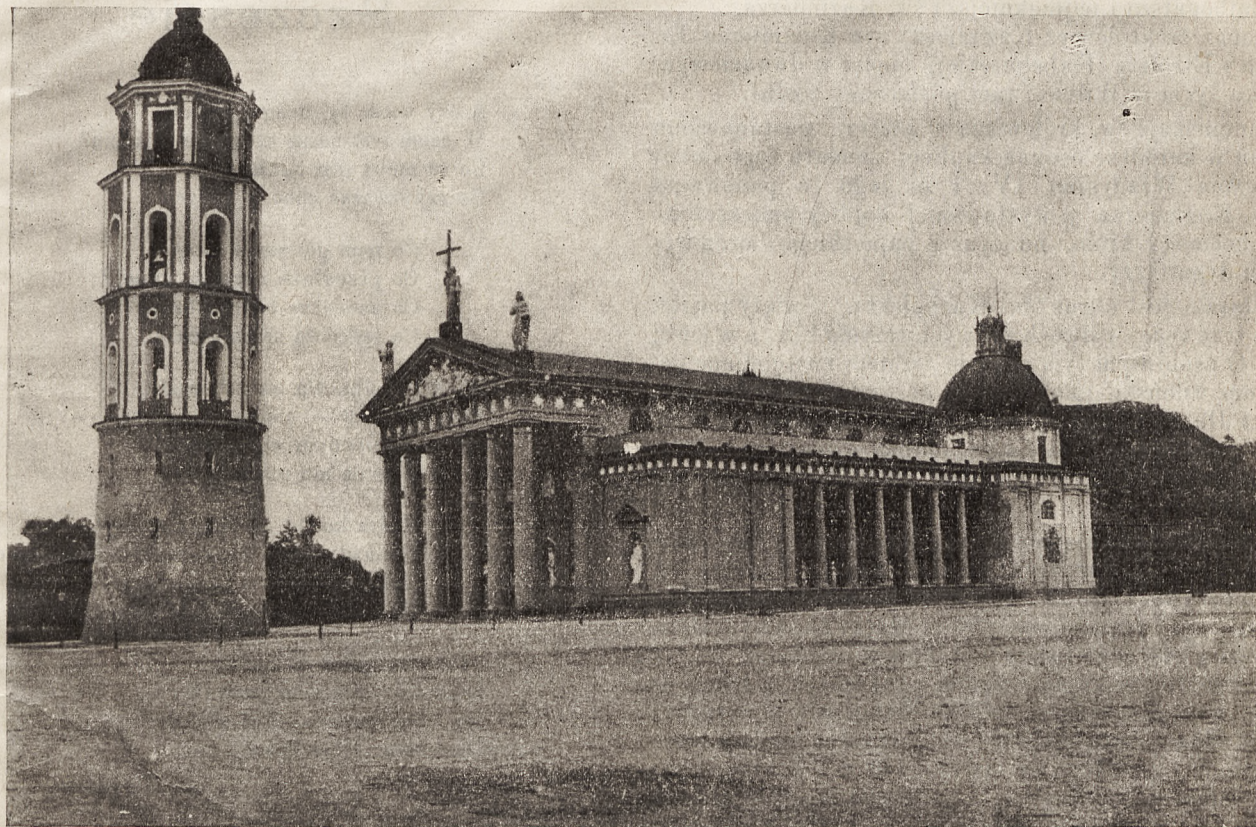


WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



KATEDRA WILEŃSKA.

W miejscu, gdzie dawniej stała świątynia Perkunasa, dla którego gorzał wiecznie tlejący ogień zwany Zniczem, wznosi się dzisiaj jeden z najstarszych domów Bożych wileńskich, a mianowicie kościół katedralny św. Stanisława, wybudowany przez Władysława Jagiełłę w 1387 roku.

Budowla Jagiełły runęła jednak wkrótce, bo już w roku 1400 zniszczoną została przez pożar; lecz wielki książę litewski Witold wraz z żoną Anną dzwignęli z ruin katedrę.

W późniejszych czasach jeszcze dwa razy stała się świątynia ofiarą pożogi, a dzisiaj istniejąca katedra została zbudowana już w końcu XVIII wieku podług planu architekta i profesora uniwersytetu wileńskiego, Wawrzyńca Gucwiczyca, a poświęcona dopiero w 1801 roku.

Na pierszy rzut oka jak widzimy z rysunku, nie robi ona zbyt dodatniego wrażenia; nie strzela bowiem wysmukłymi wieżycami w błękity i trzeba się dobrze tej masywnej

oudowli przypatrzeć, aby ocenić jej kształt zewnętrzny. Jest to wielki czworokąt podłużny z wysuniętymi narożnikami, z których dwa tylne, zakończone kopułą, obejmują kaplicę św. Kazimierza i zakrystę. Od frontu sześć olbrzymich kolumn podtrzymuje przysionek, na którego szczycie stoi św. Helena z krzyżem, a po jej bokach z jednej strony św. Stanisław, z drugiej zaś św. Kazimierz. Gzymsy na facyacie ozdobione są rzeźbą, a fronton upiększają posągi: Mojżesza, Abrahama i czterech Ewangelistów, oraz kilka płaskorzeźb z dzieł apostołskich.

Wejźmy teraz do środka świątyni. Ma ona 90 łokci długości, a 26 szerokości, to też stanowiący pod chórem wsparty na dwunastu kolumnach, ma się przed oczyma długą nawę, zakończoną presbiterium, oddzieloną kratą. Sklepienie kościoła wspiera się na szesnastu filarach; przy jednym z nich jest ambona w kształcie balkonu.

W presbiterium są po bokach stalle kanoników, tron biskupi, a pod oknem półkolnym wysunięty nieco ołtarz ze spadzającym srebrnym „tabernaculum”, misternej, staro-wiejskiej roboty, ozdobionem kolumienkami i posągami św. Stanisława i św. Kazimierza.

Za tym ołtarzem, tuż przy ścianie, jest drugi a w nim obraz, przedstawiający zabójstwo św. Stanisława Szczepanowskiego, pędzla artysty polskiego, Smuglewicza. Po bokach ołtarza olbrzymie alegoryczne posągi przedstawiają: Miłość Boga i Miłość bliźniego.

Dokoła głównej nawy kościelnej jest dziesięć kaplic, z których najbogatsza i najpiękniejsza św. Kazimierza.

Wiadomo, że król-wicz Kazimierz syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburskiej, umarł w dwudziestym szóstym roku życia w Wilnie i tam pochowany został.

Po kanonizacji św. król-wicza w 1520 r., postanowiono wzniesić dlań w katedrze osobną kaplicę; zamiaru tego dokonał ostatecznie Władysław IV, i za jego to panowania szczątki św. Kazimierza w wystawionej kaplicy umieszczone zostały w obecności króla, nuncjusza papieżkiego, oraz wybitniejszych dygnitarzy.

W ołtarzu jest obraz św. Kazimierza. Święty patron ma na nim trzy ręce; w dwóch prawych trzyma lilie, a w lewej różaniec. O osobliwym tym obrazie istnieje następujące polanie: malarz wileński, ukończywszy go, zauważył, że jedna ręka jest za długa; zatarł ją więc farbami i namalował inną, krótszą. Zamalowana ręka ciągle jednak występowała i zatarć jej nie mógł, wtedy zdecydował się malarz pozostawić obraz z trzema rękami.

Nad obrazem umieszczona jest trumna drewniana, czarno lakierowana, lecz srebrną blachą okuta. Trumnę tę, w której spoczywa ciało św. Kazimierza, podtrzymują dwa srebrne orły. Nad trumną jest statua Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, otoczona rojem aniołków w obłokach.

Kopułę wewnątrz kaplicy zdobią sztukaterye, a ściany — freski, oraz dwa alegoryczne płótna Smuglewicza. Oprócz prochów św. Kazimierza znajduje się jeszcze w kaplicy serce Władysława IV, zmarłego w marcu 1648 r. Złożone ono zostało w grobowcu pod kaplicą, a po prawej stronie ołtarza wmurowano z tego powodu tablicę marmurową z odpowiednim napisem.

Zasługuje też na uwagę przenośna ambona, zabytek ciekawy dawnego snycerstwa. Ma ona kształt kielicha, osadzonego na leżącym orle.

Z ambony tej przemawiali niegdyś kaznodzieje na nabożeństwach dworskich, odprawianych w kaplicy św. Kazimierza.

Chociaż inne kaplice w katedrze są też piękne i zawierają wiele pamiątek, największe jednak wrażenie sprawia kaplica św. król-wicza.

W katedrze wileńskiej pochowanych zostało dużo znakomitych osób, jednak wskutek częstych pożarów i w następstwie tego kilkakrotnych przeróbek kościoła, zatarły się zupełnie ślady niektórych grobowców. Nadto w czasie wylewów, woda z Wilenki zniszczyła wiele ciał, a między innymi króla Aleksandra Jagiellończyka i królowę Barbary Radzi-

wiłówny. Wiemy jednak, że oprócz Aleksandra, oraz pierwszej i drugiej żony Zygmunta Augusta, pochowani zostali w katedrze wileńskiej: dwaj bracia Jagielly, brat stryjeczny, książę Witold, którego portret nie szczególnie malowany, ale współczesny, wisi dotychczas w kościele, wreszcie brat Witolda Zygmunt wraz żoną Anną.

Zygmunt-August pragnął także być pogrzebiony w ukończeniu przez siebie Wilnie, obok Barbary, ale wola jego nie została spełniona.

Skarbiec katedry wileńskiej był niegdyś bardzo bogaty; dziś jeszcze posiada niejedną cenny i ciekawy zabytek i go-dzien jest zwiedzenia.

Opisując katedrę, wspomnieć także należy o dzwonnicy. Jest to czteropiętrowa wspaniała wieża, której dolne piętro zbudowane podobno w wieku XIV, było współczesne świątyni Perkunasa. Z tej wieży, najwyższy kapłan Krywe-Krywejty, ogłaszał wyroki bogów zgromadzonemu ludowi; z niej też po-gańscy kapłani obserwowali bieg słońca.

Gdy zagaśł Znicz, a krzyż Chrystusowy zajaśniał ponad Wilnem, z wieży Krywe-Krywejty zabrzmiały dzwony, które już przeszło pięć wieków dzwonią mieszkańcom starego gro-du Gedymina.

Jadwiga Warnkówna.

Szczęście.

A czy wiesz ty, drogie dziecię,
W czym jest nasze szczęście w życiu?
Co tu nieba jest odbicie?
Co raj stwarza choć w ukryciu!

Co nam goi serca rany,
Co przedłuża młodość duszy?
Co uśmierza ból wozbrany
Co tęsknotą serce głuszy!

Miłość wielka dla wszechświata,
Bezgraniczna — ciepła — szczerą —
Która w biednym widzi brata,
I skarb serca mu otwiera.

Która kocha, co Bóg stworzył;
Gwiazdy — słońce — kwiat nad zdrojem,
Taką miłość sam Bóg włożył
W serca nasze technieniem swoim!

Otóż ona tylko w życiu
Szczęście daje nam prawdziwe,
Raj nam stwarza, choć w ukryciu,
Daje sercu bicie żywe.

Z. Rudnicka.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał **H. C.**

(Ciąg dalszy).

Ciała, podłoga i wszystkie sprzęty pokryte były szronem, błyszczącym jak brylanty przy świetle lamp elektrycznych. Ludzie byli wysokiego wzrostu, muskularni, z jasnymi włosami, rudym zarostem i długimi wąsami. Ubiór ich

składał się ze skórzanej koszuli, przewiązanej w pasie rzemiennym paskiem, ze spodni z grubej skóry sięgających do kostek, skórzanych skarpetek i sandałów sznurowanych. Koszula wodza ozdobiona była na przodzie jedwabnym haftem, wyobrażającym czarne skrzydlate konie. Zbroja, wisząca nad krzesłem zmarłego, składała się z okrągłego puklerza, dużego topora, obosiecznego miecza i hełmu bez przyłbicy, z dwoma skrzydłami po bokach. Hełmy trzech innych nieboszczyków, choć tego samego kształtu, nie miały żadnych ozdób. Puhary rogowe, stojące na stole, były osadzone jeden w brązową, drugi w srebrną podstawę o trzech nogach, naśladujących kopyta końskie, z czwartą nogą w górę podniesioną, jakby do biegu.

Najciekawszy jednak przedmiot stanowiła karta pergaminowa rozłożona na stole przed wodzem, który wyraźnie badać ją musiał, zanim śmierć przymknęła mu powieki. Pergamin przeniesiono z wielką ostrożnością na „Latającą Rybę,” okazało się, iż była to mapa kanału, ciągnącego się między zachodnim brzegiem Grenlandyi, a wschodnim wybrzeżem Ameryki, z niekształtnie nakreśloną na północy linią, mającą wyobrażać ląd stały. W lewym narożniku mapy, narysowaną była wyspa, której południowe kontury odpowiadały krzywiznom owej linii północnego lądu. Niezgrabne rysunki zwierząt jak: wielorybów morsów, jednorożców, fok, niedźwiedzi i t. p., rozrzucone były tu i owdzie, jakby dla oznaczenia miejscowości, w których te zwierzęta przez rysownika spotykane były; najwięcej okazów fauny różnych stref, znajdowało się w okół wyspy w narożniku; były tam podobizny zajęcy, lisów, danieli, fok, słoni obok innych nieznanych naszym podróżnym. Znajdował się tam również rysunek okrętu przypominający kształtem statek zagrzebany w lodzie, a naszkicowany w chwili, gdy niby odbijał od owej wyspy. Szczygół ten dostarczył podróżnikom naszym tematu do głębokich rozmyślań; pułkownik i sir Reginald dowodzili, że wyspa ta była dowolną fantazją artysty, który ją naszkicował z wyobraźni, profesor zaś i Mildmay utrzymywali przeciwnie, że ta wyspa musi istnieć i że była prawdopodobnie zwiedzana przez ówczesnych żeglarzy normandzkich.

Po dokładnem obejrzeniu starożytnego statku, przyczem znaleziono jeszcze kilka ciał, co nasuwało przypuszczenie, że cała załoga wymarła niegdyś z wycieńczenia i głodu, oraz po zabraniu dokumentów i grubej księgi, pisanej w języku niezrozumiałym, pozamykano szczelnie drzwi kajut i zostawiono okręt na lasce żywiołów, wiedząc dobrze o tem, że śnieg go niebawem na nowo przykryje, niby całunem śmiertelnym, może na długie znów wieki.

Następnego dnia w skutek silnej zawiei Karliński i jego towarzysze z wielkim trudem prowadzili dalszą podróż na północ, nie prawie w koło siebie nie widząc, nie mogąc dla zimna wyjść na pokład; wewnątrz nawet w korytarzach oddychać im zamarzało na wąsach i nie dozwalał ust otwierać. Dla uwolnienia się od nawałnicy śnieżnej próbowali wzniesić się w wyższe warstwy powietrza, ale tam zimno było tak przejmujące, że musieli bezzwłocznie opuścić się na dół do wysokości 1000 stóp nad powierzchnią lodu, posuwając się z szybkością 80 mil angielskich na godzinę.

Dopiero około 4-ej po południu podróżni zauważyli podnoszenie się temperatury; o 5-ej powietrze ociepliło się do tego stopnia, że mogli zrzucić z siebie futra, a w pół godziny później nawet w watowanych kurtkach było im za gorąco. Śnieg przemienił się w deszcz rzęsy i gdy profesor z towarzyszami zastanawiali się nad przyczynami tej raptownej zmiany, posłyszeli w dali szum wody, a jednolitą białość przestrzeni lodowych, przecinać zaczęły ciemne plamy. Stało się widocznem, że „Latająca Ryba” przebyła północną granicę stałych lodowców i znalazła się na otwartem morzu.

— Wiwat! — wołał profesor — wiwat! Scoresby i Kane mówili prawdę, a moja ulubiona hipoteza staje się rzeczywistością! Przypatrzcie się panowie wspaniałemu widokowi otwartego, polarnego morza!

Wątpliwem było jednak, czy było to istotnie otwarte morze, czy tylko kanał niezwykle szeroki, między dwoma

obszarami lodowemi. Pozory zdawały się przemawiać za pierwszym przypuszczeniem, gdyż bryły lodowe nie pływały już po powierzchni, a skorupę ściętej gdzieniedzie wody, fale rozbiły na ławicę,

Profesor, pragnąc corychlej rozstrzygnąć wątpliwości, przyspieszył bieg „Latającej Ryby.” Po deszczu nastąpiła tak gęsta mgła, że podróżni przedniej części własnego statku dojrzeć nie mogli, a temperatura podniosła się do 2° ciepła; korzystając z tego, Karliński i jego towarzysze wzniesli statek swój w powietrze na 3000 stóp nad powierzchnię morza. Tam już nie było śladu inگی, wzrokiem mogli objąć szeroki widok; na niebie bez chmur, słońce świeciło czerwonym blaskiem.

Zadni jednak szybszej jazdy, podróżni powrócili niebawem na morze, przekonawszy się, że bieg „Latającej Ryby” najprędzszym bywa na powierzchni wody. Ujechawszy dwadzieścia mil spostrzegli, że temperatura podniosła się jeszcze o 2 stopni. Ta nagła zmiana powietrza wprawiła profesora w nieopisaną radość, śmiał się, klaskał w dłonie, biegał po statku jak rozswawolony student, przepowiadając różnego rodzaju rozkosze, jakie ich czekają u północnego bieguna.

Chwila była sposobna do zrobienia obserwacji astronomicznych; zatrzymano statek na czas krótki, gdyż Mildmay'owi kilka minut wystarczyło na dokonanie potrzebnych pomiarów. Ukończywszy obliczenia, oświadczył towarzyszom, że tylko 160 mil dzieli ich od bieguna.

Ponieważ była 6 ta. po południu, a „Latająca Ryba” na wodzie robiła sto pięćdziesiąt mil angielskich na godzinę, przeto podróżni w niespełna pięć kwadransów, dosięgnąć mieli tak upragnionego celu podróży.

Statek w szybkim biegu pruł fale wodne, bryzgając białą pianą dokoła; Karliński i jego towarzysze wyęźali wzrok ku północy, jakby chcieli przeniknąć tajemnicę dalekiego horyzontu.

O trzy kwadransy na 7 Mildmay zelektryzował obecnych okrzykiem:

- Ziemia!
- Gdzie?
- Pokaż!
- To być nie może!

Bezdładne słowa wyrwały się z ust towarzyszy.

— Patrzcie uważnie wprost nas! wygląda jak rąbek szarawej chmury, wystający z wody — brzmiała odpowiedź.

Podróżni skierawszy wzrok w stronę wskazaną, przekonali się niebawem, że mieli rzeczywiście ląd przed sobą; ciemne jego kontury zarysowywały się coraz wyraźniej na widnokręgu, a morze roilo się różnemi zwierzętami. — Widać było gromady wielorybów, ówdzie pływały morsa, delfiny kręciły się dokoła statku, wydry morskie od czasu do czasu wychylały z pod wody głowy, jakby przypatrując się ciekawie „Latającej Rybie.” W powietrzu fruwały różne gatunki ptaków morskich, nie zwracając na okręt uwagi, lecz zajęte wyłącznie łowieniem ryb dla siebie. Wreszcie w miarę zbliżania się do lądu, coraz częściej pojawiały się foki, patrzące łagodnym wzrokiem dokoła.

Z obawy uderzenia o jaką skałę podwodną, podróżni wzniesli się w powietrze i upatrzwszy stamtąd dogodną dla okrętu przestrzeń, w ten cichy wieczór lipcowy, o godzinie 7 minut 15 spuścili się na morze i zarzucili kotwicę niedaleko od wybrzeża, w ślicznej zatoce. Na lądzie dojrzeć mogli pagórki, pokryte zieloną trawą i opasane wstęgą wysokich, majestatycznych sosen.

Gdy nasyciwszy oczy tym pięknym krajobrazem, schodzili na obiad, profesor odezwał się głosem drżącym od wzruszenia:

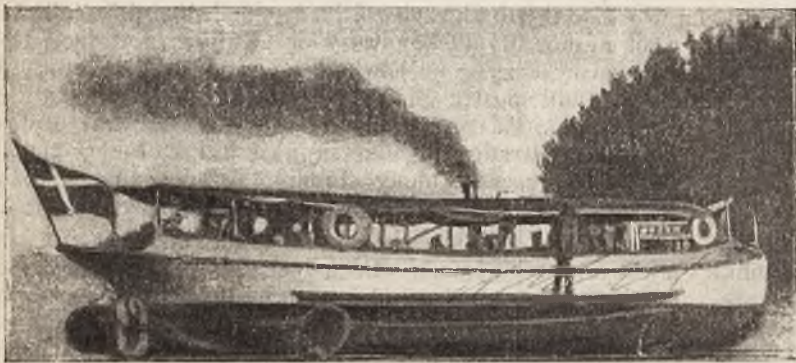
— Oczekiwałem różnych niespodzianek w pobliżu północnego bieguna, ale nie sądziłem, że zobaczę zieloność drzew i murawy.

(d. c. n.)

Z dziejów cywilizacji.

(Dalszy ciąg).

Niesprawiedliwość takiego układu oburzała biednego majstra Tomasza, rzucił więc swoje narzędzia i poszedł nad brzeg morza wypatrywać, czy nie nadpływa okręt, na którym uciekliby z wyspy, gdzie wyzyskują jego pracę.



„Łabędź” opuszcza jezioro (str. 392).

Zastał tam doktora zbierającego śliczne różowe muszle, było ich dużo. Doktor podnosił je starannie i chował do torby.

— Pomóż mi, Tomaszu, szukać tych muszli, a gdy wszystkie zbierzemy, wróci spokój na naszą wyspę.

Cieśla ruszył ramionami, był on prawdziwie niewiernym Tomaszem, ale doktora szanował dla jego rozumu, sprawiedliwości i dobroci.

— Ciekawy jestem, czy te muszle dadzą mi odzież i pożywienie, których pracując przy budowie chat, sam sobie zdobyć nie mogę.

— Właśnie dla tego je zbieram, żeby zaspokoili nasze potrzeby — odpowiedział doktor, i wzięwszy Tomasza pod ramię wrócił z nim do osady. Panowało tam wielkie poruszenie, rozgniewany cieśla groził, że jeśli nie wynagrodzą lepiej jego pracy, spali domy, które sam postawił. Złe słowo wylatuje łatwo z rozżalonego serca. Tomasz nie myślał spełnić groźby, ale towarzysze byli nią bardzo przerażeni. Siedzieli więc na zrębie chaty myśliwego, którą właśnie rozpoczął budować Tomasz. Doktor widząc, że zgromadzeni są wszyscy wyspiarze, wszedł w środek koła i tak mówić zaczął:

„Koledzy! leczyłem dotąd wasze ciała, dziś chcę uleczyć duszę. Wiem dla czego czujecie się nieszczęśliwi i postanowiłem zaradzić złemu. Nie dość jest mieć dwa towary do wymiany, aby otrzymać to, czego potrzebujemy, musi być jeszcze towar trzeci.”

„Towarem tym niech się staną dla nas te piękne i twarde muszle, rozdzielimy je, każdy schowa swoją część, a potem ułożymy się o wartość przedmiotów, jakie za muszle kupować będziemy.”

Przemowa doktora zaciekała wyspiarzy. Porachowali oni muszle i obdzielili wszystkich sprawiedliwie. Odtąd ustały sprzeczki. Doktor, uproszony przez towarzyszy, oznaczył cenę przedmiotów wyrobionych na wyspie. Jeżeli kowal potrzebował żywności, szedł do myśliwego i w zamian za muszle dostawał zająca, myśliwy zaś, sprzedawszy w ten sposób cały zapas zwierzyny, szedł do krawca, bo podarła mu się odzież w czasie wypraw wśród zarośli, szedł więc do krawca i wymieniał 6 muszli za kaftan usztyty z płótna.

Cieśla Tomasz uwierzył nareszcie, że muszle zapewnią pokój na wyspie. Już teraz szewc nie śmiał ofiarować parę obuwia za zbudowanie chaty. Pracę taką opłacano 400 muszlami, chociaż więc stawianie chaty zabierało cieśli dużo czasu, miał za co przez cały przebieg budowy kupować żywność i potrzebne sprzęty. Dobry doktor cieszył się swym pomysłem, on także dostawał muszle za porady lekarskie, muszle wymieniał potem na krzesła, obuwie, lub żywność i tak, dzięki trzeciemu towarowi, wymieniali wyspiarze zgodnie swoje bogactwa. Bo była to zawsze wymiana, tylko zamiast wymieniać krzesło na buty, wymieniono krzesło na muszle, aby w danej chwili te same muszle wymienić na buty.

I spokój zapanował wśród wyspiarzy, a że w zgodzie pracuje się dobrze, więc nasi osadnicy z każdym dniem więcej przysparzali bogactw, używając do tego trzech znanych wam już czynników: natury, pracy i narzędzi. Narzędzia były coraz doskonalsze, więc też i bogactwa coraz różnorodniejsze, bo wyspiarze zapragnęli większych wygód, o piękniejsze starali się sprzęty, i słusznie. Szlachetną jest dążność człowieka do robienia nowych odkryć, nowych udogodnień; naród, któryby zaprzestał dbać o podniesienie swego dobrobytu, byłby narodem upadłym. Cywilizacja polega w wielkiej mierze także na rozwoju coraz większych potrzeb i na zaspakajaniu ich przez coraz szersze koła ludności. Ale wróćmy do naszych wyspiarzy.

Wkradł się tam znowu jakiś nieporządek, a wiecie dla czego? Oto osadnicy tak się przyzwyczaili do używania muszli przy wymianie towaru, że stracili zupełnie pojęcie rzeczywistej wartości tych biednych muszledek, które niewinnie stały się powodem wielkiego zamieszania. Zdawało się bowiem wyspiarzom, że im więcej będą mieli muszli, tem będą



„Łabędź” na lądzie (str. 392).

bogatsi, zamiast więc łowić ryby i zwierzyne, zamiast kuć siekiery i szyć obuwie, zaczęli upędzać się za muszlami. Jakoż wkrótce odkryto grootę podwodną, w której było bardzo wiele muszli. Co się wtedy działo, to wypowiedzieć trudno, napróżno doktor wstrzymywał i tłomaczył, głusi na jego zaklęcia rzucili się osadnicy do wrywania muszli, a co przytem powstało kłótni i bójek, o tem wolę nie wspominać. Nagle więc każdy z wyspiarzy stał się panem wielkiej ilości muszli, ale radość szaleńców krótko trwała.

Myśleli oni, że teraz nie będą potrzebowali pracować. Szewc na dobry humor upił się winem z bujnego winogrodu, który rósł obok jego chaty, kowal zagasił ognisko, a cieśla, wstyd mi powiedzieć doprawdy, cieśla rzucił siekiere do morza.



NAD PRZEPAŚCIĄ (str 392).

— Po cóż mamy pracować, kiedy posiadamy tak dużo muszli! — wołał zadowolony z pomysłu i patrzył zuchwale na doktora.

Radość jednak i zuchwalstwo minęły prędko. Muszle brzęczały wprawdzie w kieszeniach tych waryatów, ale muszle nie mogły ich ani pożywić, ani ubrać, ani zabezpieczyć przed burzą. Wkrótce też tak mało zostało żywności, że za nędznego zajaczką, który wprzód wymieniany był za jedną muszlę, teraz głodny tkacz zapłacił aż 30, a że właśnie stado szakali zjawilo się w okolicy, więc za łuk, który wprzód kosztował 20 muszli teraz trzeba było 300 muszli wyłożyć.

Doktor mógł się słusnie śmiać z szalonych wyspiarzy, ale oni sami wkrótce poznali swój nierozsądek i przeprosiwszy dobrego doradcę, zabrali się znów do roboty, zrozumiawszy, że bogactwem są nie muszliki, lecz wydobyty z otaczającej przyrody i wytworzony przez pracę, za pomocą narzędzia towar.

Bóg nagrodził skruczę osadników, bo uznawszy błąd swój, umieli go naprawić. Przyplłynął wkrótce okręt, który zabrał wszystkich do Europy. Żal im było opuszczać wyspę, wzięli z niej nawet na pamiątkę wiele przedmiotów, wzięli i muszliki; w kraju żartowano sobie z tego skarbu, o który między wyspiarzami dochodziło do bójek; Tomasz cieśla odpowiedział szydząco:

— Byliśmy szaleni, to prawda, ale mało kto z was jest od nas mądrzejszym. Wasze złote pieniądze, które mienicie być bogactwem, są właściwie tem samym, czem nasze muszliki, to jest służą jako przedmiot do wymiany przedmiotu na przedmiot, jako miarę ich ceny.

Czy Tomasz miał słusność?

Janek Dolski rozumiał już teraz zapewne, że jego ojciec doktor, zamienia swój towar, to jest wiedzę lekarską tymczasowo na pieniądze, które mogą leżeć spokojnie przez długi czas, nawet przez lata całe, ale gdy nareszcie pan Dolski kupi kamienicę, nabędzie on ją w zamian za swoją pracę lekarską, a złoto, które wypłaci przy kupnie, będzie właściwie tylko pośrednikiem w zamianie.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Powtarzam ci, książę — rzekł Masław z uśmiechem — że ja ciebie znam i dość ci na tem! Co ci z tego przyjdzie, że usłyszysz imię nieznaczącego człeka, który jeszcze dotąd miejsca sobie na świecie nie zdobył? Królewiczu, są tacy co boleją na widok poniżenia, w jakim się znajdujesz tak niesprawiedliwie, ty, starszy syn, prawy dziedzic korony, odtrącon od niej, niewiedzieć za co, przez ojca rodzonego. Tak, są tacy, co cię żalują i pragną ci pomódz, bo pojmują jak two serce goryczą się napelnia, na myśl, że wszystko co ci się z prawa należy, zbiera inny, mniej tego godny. Lud zaś nie może patrzeć na takie przekroczenie obyczaju; boć zawsze, odkąd ziemia nasza, syn starszy zasiadał na stolicy ojcowskiej, i krzywda podobna nigdy jeszcze nie była widziana. Wszak syn knezia każdego dziedziczy po starszeństwie mienie rodzica, a za cóż ciebie ma spotkać tak srogie pokrzywdzenie? Jako żywo, tego nie będzie; dość ci ręką skinąć, a tysiące staną w obronie tych przywilejów starszeństwa; bo wiedz o tem, że cały ten biedny lud sponiewierany, mający w puszczech osady, jest ci całym sercem oddany. Rzeknij więc słowo, a od Sandomierza aż do Krakowa wszyscy oni powstaną, by cię poprzeć.

Masław mówił z taką szczerością i zapalem w głosie, jakby oczywiście nie mu bardziej nie leżało na sercu jak krzywda Bezbrajma. Ten patrzył nań zrazu zdziwiony, poczem coraz bardziej dawał się opanowywać słowami kusiciela; na chwilę w jego oczach błysnęła duma i chciwość panowania, lecz słabość wzięła górę, a może i ostatki sumienia w nim się ozwały. Potrzęsnał głową i rękami jakby coś odpychał od siebie.

— Nie, nie — powtarzał — nie kuś mię, to być nie może; nigdy to się nie powiedzie...

— Dla czego być nie może? — zawołał Masław. — Czemu się nie ma powieść? Śmiałemu wszystko się udaje! Nic nie potrzeba więcej, tylko kłębysz stanął na czele powstającego ludu i ogłosił się jego przywódcą.

Bezbrajm zdawał się wahać:

— Nie — rzekł w końcu — ja stanąć otwarcie na czele waszem nie mogę; działajcie, a ja tylko będę was popierał skrycie. Nie mogę wystąpić, nie mogę się narażać teraz, któż mię zapewni, że lud mię później nie odstąpi, gdy król powróci. Nie, nie, nie — powtórzył, oglądając się dokoła niespokojnie; — tak działać nie można, jak mówisz, to zbyt zuchwale i niebezpiecznie; cóżby się stało, gdyby wszystko upadło? Nie, ja do tego ręki nie przyłożę!

Masław z pogardą popatrzył na mówiącego i opuścił pieczarę.

Przed samą grotą natknął się w ciemności na ogromną postać Wyrwidęba, który czekał na niego u wejścia.

— Jesteście przecie — rzekł półgłosem, gdy poznał Masława. — Oj, oj, co się tu działo, myślałem, że już świat się skończy, taka wichura straszna przeleciała nad doliną. To ten przeklęty karzeł tego narobił; jeszcze dotąd się trzęsę, gdy o tem pomyślę. Ot, tak i patrzyłem, kiedy całą tę skalę znieśie, razem z pieczarą i ze wszystkiem. A koniska biedne, to tam też pewnie ze strachu się trzęsą...

Niebawem, po odejściu Masława i Bezbrajma pieczarę opuścił. Rokitka pozostał sam i wybuchnął głośnym, przydłużonym śmiechem, aż wszystkie podziemia się śmiały.

— Jeden gwałtowny i okrutny, drugi słaby i podstępny, lecz obaj służą Czarnobogowi! O, tak, potężne bóstwo ciemności, dokąd ludzie żyć będą na ziemi, nigdy nie zbraknie ci czcicieli!

Chodź stary — zwrócił się do rysia — ty przynajmniej nie udajesz lepszego, niż jesteś; jesteś drapieżnym, bo natura cię takim uczyniła, lecz nie gryziesz ręki, która cię żywi. Chodź, wołę cię stokroć niż tych ludzi!

Gdy to mówił, w bocznym kurytarzu ukazała się biała postać jakaś i cicho podeszła do ogniska. Była to obląkana, którą lud miał za wodnicę.

Stanąła w milczeniu, wpatrując się w ogień zamyślonemi oczyma, jakby nie widziała Rokitki. Ten nie zdawał się zadziwiony nagle jej zjawieniem i pierwszy przerwał milczenie:

— Cóż, Ruto, z dalekich stron przychodzisz?

Wodnica rzuciła się na dźwięk tych słów.

— Ruta? kto mnie zowie Ruta? Dawno, dawno już nazywano mnie tak. Teraz ludzie mówią na mnie: wodnica, a ja nie gniewam się o to.

— Mówiłaś mi kiedyś, że masz się na kimś pomścić? Tak? — spytał Rokitka.

— Tak — rzekła wodnica, siadając na kamieniu przy ognisku i w zadumie wspierając się na kolanaach. — Przypomniałaś mi, miałam się pomścić... ale na kim? Gdy śpię tam, na dnie jeziora, to o wszystkim zapominam na długo. A wiesz ty, jakie tam są prześliczne rybki, srebrne i złote; często je łapie i pieczęje się z nimi. Niedgdy pieściłam tak samo gołębie, a one mi do rąk leciały; były takie ciepłe, bieluchne, ale to już bardzo dawno temu. Wówczas miałam siostry, matkę, braci, i ojca także. Przyszedł wilk jednej nocy i pożarł je, a ja zostałam sama. Wiesz, tak jak w bajce, którą dzieciom prawią.

— Ale przyjedzie kiedyś królewicz na białym koniu, i zabije wilka, i wodą żywiącą pokropi pomordowanych,

a wówczas oni wstaną zdrowi, cali i piękni, i znów szczęśliwe czasy powrócą. Lecz trzeba wprzód zabić wilka...

— Tak, trzeba wprzód zabić wilka! powtórzył Rokitka, i wytępić całe plemię wilcze! Jeśli sama tego nie zrobisz, to przynajmniej możesz do tego dopomóc. Czy słyszysz mię? Przyjdzie kiedyś taki królówicz na białym koniu; lecz ty mu musisz dopomóc w zabiciu wilka, ty wodnica!

Oblakana beznymnie potakiwała skinieniem głowy:

— Tak, ja wodnica, powtarzała, lecz myśli jej były już gdzieindziej.

— Teraz z nią niema co gadać, szepnął Rokitka, lecz przyjdzie znów taka chwila, że można jej będzie przypomnieć zemstę. O, kneziu, Mszczuju, kneziu-wilku, poznasz ty, że nie można bezkarnie psami szcuć Rokitkę, poczujesz jeszcze jego rękę!

Oboje, karzeł i dziewczyna, siedzieli w zadumie na przeciw siebie, przy ognisku; on, ze wzrokiem błyszczącym, jak u drapieżnego kota objął szyję rysia, i widocznie w duchu ścigał swą zemstę; ona zaś, rozmarzona, wpółsenna, patrzyła w płomień, nucąc coś eichym głosem.

XVIII.

Już od kilku dni ludzie pracujący na górze Łysej byli obłączeni, a znikąd nie mogli się spodziewać pomocy. Wkrótce żywności zaczynało braknąć, bo zwierz obawiał się przybliżyć do miejsca, gdzie obozowało tylu ludzi i trudno było cośkolwiek upolować. Sławko łamał sobie głowę, jakim sposobem dać znać o swem położeniu Dobrogostowi; ale nic wymyśleć nie mógł. Paganie otoczyli ich tak, że nikt, ptak nawet nie mógł zda się przelecić.

Pewnego wieczora Sławko przywołał do siebie jednego z zaufanszych ludzi.

— Miłoszu — rzekł — co myślisz? Czy nie byłoby sposobu przedostać się jednemu człeku przez chmury owego plugawstwa, by zejść do Kiele?

Miłosz obejrzał się dokoła i pokręcił głową:

— Jak tu się dostać — rzekł — kiedy nas zewsząd dokoła obrzucono sieciami? Można spróbować jednak, wola wasza, ale wiem, że się to na nic nie zda.

— Jeśli się nie zda, to lepiej nie próbować — odparł Sławko. Ja sam — wiem, że zwyczajnymi sposobami nic się nie robi, ale poszukaj no w głowie, może co wymyślisz. Tyś sprawny chłopak i nie w ciemni bity, wiem o tem dawno...

Miłosz przysłonił ręką oczy, patrząc w dal.

— Plugastwo opstało nas zewsząd, mruknął, ptakiem chyba przelecić.

— Nie tak to łatwo wymyśleć co tutaj...

Obszedł dokoła cały wierzchołek góry, oglądając każde miejsce.

Sławko pozostał, spozierając tylko zdala na chodzącego w zadumaniu Miłosza.

Wreszcie ten powrócił z twarzą rozpromienioną:

— Mam już! zawołał. Jeśli chcesz to podejmuję się przedostać do Kiele i sprowadzić tu pomoc.

— Jakim sposobem.

— Pójdę po wierzchołkach drzew.

— Po wierzchołkach drzew — powtórzył Sławko zdziwiony. — Przecie nie jesteś wiewiórką...

— Wszak to nic trudnego — rzekł Miłosz — kiedym wyrostkiem wybierał gniazda ptasie, nieraz przechodziłem tak pół lasu, a przecie u nas pod Krakowem lasy przeredzone nieco, i drzewa stoją dalej od siebie niż tu w tej puszczy. Niech tylko noc nastanie, a przejdę tak po nad ich głowami, że ani się tego domyślą. Za dni cztery spodziewajcie się pomocy z Kiele, od Dobrogosta.

— Zuch z ciebie! — rzekł Sławko, klepiąc go po ramieniu. Ruszaj więc z Bogiem, skoro noc zapadnie, i przywieź nam prędko pomoc, bo tu coś już bardzo kuso koło nas.

Kiedy ściemniało się zupełnie, Miłosz stanął na skraju i spojrzął w dół. O jakie kilka sążni pod jego stopami widniały ognie obozowisk pogańskich. Cała góra zdawała

się być przepasana ognistym pasem, Miłosz wybrał stronę porośłą gęstym lasem, na której z powodu jej spadzistości najrzadziej rozłożone były ognie. Wdarł się na drzewo, a stanawszy na jednym z grubszych konarów, chwycił za gałąź następnego, i przeskakiwał na nie. Gdy natrafił na miejsce, gdzie drzewa były rzadsze, wybierał młode i giętkie, a rozkołysawszy je silnie, w chwili gdy wierzchołek dotykał następnego, zręcznym skokiem przerzucał się na nie.

Ale szło o to, by nie zwrócić na siebie uwagi; Miłosz starał się być w równej odległości od obu ognisk, pomiędzy którymi przechodził, drząc kiedy gałązka trzaśła mu pod stopą.

Raz przybliżył się na tyle do jednego z ognisk, że słyszał głosy tych którzy przy niem siedzieli: Widział też ich z góry; leżeli porozciągani na trawie.

— Słysz, Zbilut, jak to ptactwo czegoś wrzeszczy okrutnie.

— Pewnie żbik je popłoszył.

— Albo ryś skrada się na drzewie.

— Oj, oj, cości nad nami gałęzie trzeszczą... Zbilut, a gdzie twój łuk?

— Darmo tylko zmarnujesz strzałę, nic nie widać.

Miłosz tymczasem dech w sobie zaparł, by nie być dostrzeżonym; szczęściem wiatr się zerwał, a trzask i szum gałęzi pozwolił mu swobodnie się poruszać.

Przeszedł już wreszcie podwójny szereg ognia, opasujących górę, gdy znalazł się niżej, cisza leśna otoczyła go i usiadł na gałęzi, by nieco spocząć.

Odpuściwszy, począł się dalej przekradać, i wkrótce był już u stóp góry. Przed nim leżała puszcza, cicha, bezpieczna puszcza, mogąca go okryć swym opiekuńczym cieniem.

Postanowił jednak do rana nie spuszczać się na ziemię, z obawy dzikich zwierząt. Szedł więc dalej po szczytach drzew.

Nagle łomot jakiś dał się słyszeć wśród gałęzi; para oczu zielonawych zaświeciła w ciemnościach; był to żbik. Wskoczył na niego ze swemi groźnymi pazurami; obaj przeciwnicy zwarli się z sobą, lecz wkrótce żbik powalił się z drzewa, ugodzony przez Miłosza nożem w samo serce.

Tak szedł przez noc całą, skoro zaś na wschodzie zaczęło świtać, czując się strudzonym, usiadł między dwoma rozłożystemi konarami i przywiązawszy się do drzewa, by nie spaść, zasnął, kołysany potanym szumem puszczy. Gorące, jaskrawe promienie słońca, padające mu wprost na głowę, zbudziły go; sądząc po drodze, jaką słońce już zrobiło, było to dość późno. Zsunął się więc z drzewa spieszo oglądając w której stronie puszczy się znajduje. Za wskazówkę służyły mu pnie drzewne, zawsze od strony północnej porośnięte mchem.

Po niejakiem czasie napotkał ścieżkę udeptaną i puścił się nią.

Gdy słońce pochyliło się na drugą stronę nieba, ujrzało go na drodze do Kiele.

* * *

Tymczasem na górze Łysej, pomimo obłączenia nieporzucano roboty; dzięki zachętom brata Angelo budowa wciąż posuwała się dalej. Ale żywności brakło coraz więcej; Sławko też codzień spoglądał w stronę Kiele, czy nie nadciąga spodziewana pomoc; nikt jednak nie przybywał.

Pogan tymczasem przybywało z różnych stron; ale kiedy nazbyt się zbliżyli, ludzie Sławkowi razili ich strzałami i to nauczyło ich trzymać się w przystojnej odległości.

Odtąd zadowolili się rozłożeniem obozowisk na stoku góry, czekając spokojnie, aż głód zmusi obłączonych do poddania się.

A głód coraz się zwiększał; resztki żywności, pozostałe jeszcze w zapasie, dzielono na tak szczupłe cząstki, że ledwie mogły one utrzymywać ludzi przy życiu, i robotnicy zaczęli już upadać na siłach przy pracy.

Brat Angelo bardzo się smucił, pragnął bowiem, by kościół stanął jak najprędzej, widząc w tem jedyny środek

wyplenienia pogaństwa; tymczasem budowa zaczęła iść leniwo a ludzie upadali na duchu. Wszelkimi też sposobami starał się dodawać otuchy i wytrwałości, nieraz sam próbował nawet pomagać im w dzwiganiu ciężkich belek i kamieni.

Wszyscy dotąd mężnie głód wytrzymywali i nikomu ani do głowy nie przyszła myśl o poddaniu się; jeden tylko z robotników, piętnastoletni chłopak, pomagający ojcu w obrabianiu drzewa, opadł zupełnie z sił i nie mógł już chodzić prawie. Widząc to, brat Angelo oddawał mu odtąd codziennie pokrywając część żywności przypadającą na niego, sam, obchodząc się niczem. Trwało to pięć dni i nikt by nawet nie zauważył tego, bo młody zakonnik wciąż z jednaką wesołością i pogodą dodawał otuchy innym, gdyby sam chłopak nie odkrył owego szlachetnego podstępu O. Augustynowi, który, przywoławszy do siebie brata Angelo — rzekł mu poważnie:

— Dowiedziałem się bracie przed chwilą, żeś użył podstępu, by nas wszystkich oszukać..

Brat Angelo zarumienił się i spuścił głowę.

— Wprawdzie było to w dobrym celu, ciągnął dalej O. Augustyn, ale na przyszłość bracie, jako starszy, zabraniam ci podobnych podstępów...

Brat Angelo otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale ojciec Augustyn przerwał mu, pytając z powagą:

— Bracie Angelo, jaka jest najpierwsza powinność zakonnika?

Posłuszeństwo, szepnął brat Angelo, pochylając głowę.

— Pamiętaj więc bracie o owej powinności, a teraz niech cię Bóg ma zawsze w swej świętej opiece, dokończył stary zakonnik dziwnie rozrzuwionym głosem.

— Zostań jeszcze bracie, chcę z tobą pomówić, ozwał się O. Augustyn, gdy brat Angelo chciał odejść. Oddalmy się tylko nieco na uboczu. A znalazłszy się na uboczu, rzekł półgłosem:

— Co myślisz bracie o naszym położeniu? Jeżeli Bóg miłosierny nie zesle nam pomocy z nieba, to zguba nasza niechybna.

— Ojcie, czyż to być może, by Bóg nie wspomógł naszego świętego dzieła, zawołał brat Angelo. Ja ufam stałe w jego miłosierdzie.

Ojcie, ozwał się po chwili, pozwólcie mi zanieść jedną prośbę..

— Mów bracie — rzekł O. Augustyn który nagle, niewiedząc dla czego uczuł się zaniepokojonym.

(d. c. n.)

NASZE RYCINY.

Statek ziemnowodny.

Statkiem ziemnowodnym najwłaściwiej nazwać można drobny statek parowy, który krąży również łatwo po drodze żelaznej na lądzie stałym, jak i po wodach jeziora. Dotąd

jest to jedyny tego rodzaju okaz; by go zobaczyć, udać się trzeba do Danii, gdzie utrzymuje komunikację między dwoma jeziorami w pobliżu Kopenhagi. Nadano mu nazwę „Svanen,” co po duńsku znaczy łabędź. Zanim go zbułowano, podróżni przebiegać musieli przesmyk szerokości 350 m, przypadający między osadą Fiskeback a jeziorem Farum; była to, co prawda, przechadzka niezbyt długa, zmuszała jednak do przesiadania i do przenoszenia pakunków; obecnie zaś pasażerowie zajmując miejsca na statku, bez opuszczenia go przedostają się przez oba jeziora i przesmyk pośredni.

„Łabędź” ma 13,8 m długości, przy 2,85 m szerokości; mieści może siedmiesięciu pasażerów z odpowiednim ładunkiem, zagłębiając się w wodzie na 1 m. Gdy jest na wodzie, nie różni się on powierzchownością zgoła od wszelkich statków przewozowych, służących na licznych jeziorach krajów skandynawskich. Od zwykłych wszakże statków tem się wyróżnia, że w dolnej swej części opatrzony jest w silne osie, na których osadzone są dwie pary kół.

Skoro „Łabędź” przybywa na brzeg przesmyku lądowego, wsuwa się między dwa szeregi pali, ustawione prostopadle do linii brzeżnej, a wtrącony przez nie w należyłą drogę, dostaje się na szyny, ułożone wzdłuż równi pochyłej, i wtedy przednie jego koła przechodzą w obrót i statek przeobraża się natychmiast w lokomotywę, wdzierając się po pochyłości drogi, która się przed nim ciągnie.

Od szczytu, przypadającego mniej więcej w połowie szerokości przesmyka, droga obniża się ku drugiemu jezioru i statek wtacza się znów na wodę.

Statek jest w ruchu jedynie od 1 czerwca do 1 października; w dniu powszednie odbywa podróż trzykrotnie, w niedziele tylko pozostaje w ciągłym ruchu, wtedy bowiem mieszkańcy Kopenhagi tłumnie wybierają się w okolice jezior na przechadzkę.

Nad przepaścią.

Gdzieś w górach Himalajskich, krętą, wąską ścieżką, wykutą na krawędzi przepaści, pędzi młody oficer angielski na dzielnym rumaku, wioząc ważne polecenie do pułku. Wierzchowiec śmiało stąpa po skalistej drodze, zda się nie widzi, że jeden krok fałszywy śmiercią mu grozi. Oficer nie rzuca spojrzenia w bok, aby nie dostać zawrotu głowy, patrzy tylko przed siebie i nasłuchuje, czy ktoś w przeciwnym kierunku nie zdąży; rozminąć się bowiem w tem miejscu niepodobna, więc trzeba zawczasu ostrzedz się wzajemnie.

Wtem na zawrocie słychać tentent jakiś. Dziki wół wypada z za skały, chwila jeszcze, a spotkają się oba zwierzęta i runą w przepaść. Lecz od czego przytomność umysłu i odwaga człowieka! W mgnieniu oka zręcznym ruchem przyciska konia do ściany, a nogą odpycha pędzącego wodu, który pewnie dzięki swej sile i wprawie, zdoła się utrzymać tam, gdzie koń i człowiek niechybnie runęliby w przepaść.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Katedra wileńska przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Szczęście, wiersz przez Z. Rudnicką. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Nasze ryciny. — Dodatek: W wigilię Bożego Narodzenia, bajka czarodziejska przez J. Osęka. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE



W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

P. J. Osęka.

I.

Henryczek.

Zima była, mróz ścisnął ziemię, wiatr huczał i rzucał śniegiem w około.

Henryczek siedział w ciepłym pokoju. Przez zamrzle szyby widział pola zasłane śniegiem i sople wiszące na drzewach. Jak tam zimno być musi! I nie dziw, wszak to już 23 grudnia. Jutro wigilia Bożego Narodzenia. Chłopczyk zwykle rok cały cieszył się na ten dzień, ale dziś siedzi smutny, patrząc na dzienniczek, który leży przed nim. Pan Bronicz, nauczyciel, wyszedł przed chwilą, mówiąc sucho:

— Koniec nauki przed świętami; ojciec pewnie zechce zobaczyć twoją cenzurę, pamiętaj, żeby się nie zgubiła.

Te słowa wymówił z naciskiem; Henryczek dobrze zrozumiał ich znaczenie. Raz był taki wypadek, „że się cenzurka zgubiła,” Henryczek nie pamiętał, jakie w niej były stopnie, ale pan Bronicz wiedział, że nie same piątki...

I teraz piątki możnaby na palcach policzyć, a pałek jest tyle! Najwięcej ze sprawowania. Ostatnia dzisiaj za to, że przepisał rozwiązanie rachunkowe z książki, a zareczął, że zrobił je bez niczyjej pomocy, ale kłamstwo prędko wyszło na jaw; drugie były także za przeróżne kłamstwa. Zawsze wszystkiemu winna „ta szkaradna wada, z której cię poprawić nie można,” jak mówił pan Bronicz, który wyjechał na święta; a ojciec zechce pewnie dziś obejrzyć stopnie, jutro zaś będzie wigilia i gwiazdka.

Ach, czemuż nie umiał się oprzeć pokusie oszukiwania i zwodzenia, czemu się zawsze wykręcał, gdy co zbroił, choć się już tyle razy przekonał, że to nic nie pomoże; czemu się tak niedbale uczył? Jakże by inaczej dziennik wyglądał, gdyby się był nad tem zastanowił

wcześniej! Nie byłoby tych wszystkich haczykowato zagiętych dwójek; tych trójek, które tłoczą się na siebie... stałyby same piątki i czwórki... Zamiast jednej kreski postawić trzy, taka mała różnica, a jaka ogromna zmiana!

Henryczek umoczył pióro, w powietrzu kreślił brakujące kreski, po chwili pióro spuszcza się niżej i pałki zmieniają się na czwórki, zrazu bardzo nieśmiało, niewidocznie, potem coraz pewniej i wyraźniej. Następnie z niektórych dwójek robią się trójki, te zaś zamieniają się na piątki.

Teraz dzienniczek wygląda prześlicznie, ani jednego złego stopnia! Henryczek upuszcza pióro i z przestrachem patrzy, jak świeży atrament błyszczy zdradziecko, a liczby wyglądają jakoś powykrzywiane.

Chłopczyk czuje, że zrobił coś bardzo złego i brzydkiego, boi się spojrzeć na nieszczęśliwą cenzurkę i tak długą chwilę siedzi bez ruchu, doznając dziwnego uczucia strachu i przygnębienia, obcego mu dotychczas. Wreszcie, atrament zasycha, liczby przestają się krzywić. Henryczek zamyka dziennik i składa książki, obiecując sobie nie dotknąć ich przez dwa tygodnie. Zbliża się do okna.

Na szybach zamiast kwiateczków, widzi niezgrabne gzygzakki, dzięki którym pokój wygląda dziwnie ponuro.

Niebawem rozlega się dzwonek, wzywający na obiad. Do stołu zasiada babunia, rodzice, wuj Karol, mała Zosia i bona Francuska. Henryczek niema apetytu. Korzystając z głośniejszej rozmowy, podnosi głowę i rozgląda się nieśmiało.

Babunia mówi teraz coś do wujka, ale chwilami dziwnie spogląda w stronę wnuka. Pewnie przypomniał sobie, że dwa tygodnie temu stłukł ktoś w jej... a zazonik, ale w żaden sposób sprawcy nie znaleźć.

Na twarzy mamy widać jakby zmarszczy niekiedy brwi groźnie, ja... ową cenzurkę, „która się zgubiła.”

Wujek zaś uśmiecha się złośliwie; pozawczoraj, kiedy on wyśmiał przed chwilą zapewniał o swej...

Nawet mała Zosia krzy...

U cioci Polci.

ki: „obiecaneś mi pajaca, a nic dotychczas nie dałeś,” a p. Luce zacina usta, patrząc na Henryczka, od owego wieczoru, w którym ją wystraszył okrzykiem, że się dom pali.

Wstają od stołu. W uszach brzmią mu ciągle słowa: „ta szkaradna wada, z której cię poprawić nie można.” Poprostu wszyscy się na niego uwzięli.

Wieczorem ojciec siedzi sam w swoim pokoju, kiedy Henryczek przychodzi powiedzieć mu dobranoc.

— Przynieś mi twój dzienniczek — mówi ojciec.

Henryczkowi serce zabiło silniej, idzie jednak i przynosi kajecik. Ojciec ogląda go przez chwilę, potem całuje w czoło syna i mówi:

— Bardzo dobrze, moje dziecko, rad jestem z ciebie.

I z uśmiechem dodaje:

— Pamiętaj, że to jutro wigilia Bożego Narodzenia?

Henryczek uczył nagle, jakby ukłucie w serce i dławienie w gardle, oczy mu zwilgotniały, wstyd go ogarnął taki, że byłby się schował pod ziemię. Jakiś nieśmiały głos szeptał mu:

— Wyznaj pokornie prawdę i proś o przebaczenie.

Ale strach przemógł, zawahał się, wtem babunia zawołała ojca.

Henryczek ze spuszczoną głową poszedł spać; długo jednak nie mógł zasnąć, przewracał się niespokojnie na łóżku, bo wszystkie popelnione kłamstwa, zwłaszcza ostatnie największe, dręczyły jego myśli.

— Eh, cóż w tem tak złego? — tłumaczył sobie, usiłując przygłuszyć głos sumienia. — Nikomu przecież szkody przez to nie wyrządziłem. Po świętach będę się bardzo dobrze uczył i sprawował, to naprawdę zasłużę na pochwałę, a teraz ojciec nie będzie się gniewał, a ja uniknę kary. Po co też miałem przyznać się babci, że jej stłukł wazonik? gniewałaby się na mnie, a wazonik i tak by się nie skleił. A pajac? Ot, głupstwo, to było tylko tak niby, żeby mi Zosia dała swą książkę z obrazkami. Zaś panna Luce niema się o co gniewać, bo czyż to żartować nie wolno? Albo cóż tak złego w opowiadaniu rozmaitych niebываłych historyi? Nikomu to szkody nie przynosi...

Uspokojony tem dowodzeniem Henryczek usnął, choć trudno nazwać jego sen, snem sprawiedliwego.

Nazajutrz od rana panował w całym domu niezwykły ruch, wszyscy wyglądali jakoś tajemniczo, nieledwie uroczyście! Zosia ani chwili spokojnie usiedzieć nie mogła wszędzie jej było pełno, nareszcie przybiegła do a podzielić się wiadomością, że dostrzegła jak widać coś bardzo ładnego, błyszczącego, pełnia choinki.

(d. c. n.)

Ó M Y.

grzeją, są takie co palą.

u ómy leciały falą,

bione blaskami

nia skrzydłami.

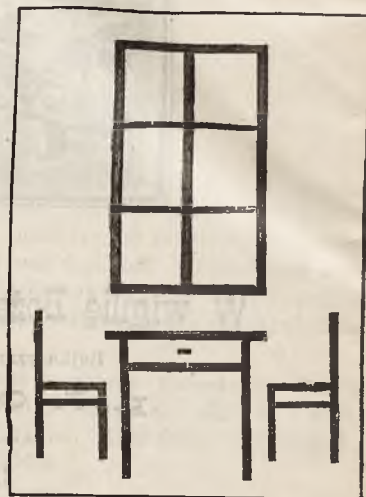
leka świeci,

iętajcie dzieci!

L. Ż.

(Dalszy ciąg).

Pomysł ten bardzo się dzieciom podobał, a Kazio prosił, żeby mógł lepić, podczas gdy Henryś i Zosia cięli paski papieru. Błękitny podłużny kawałek został najpierw przyklejony na środku biletu, a potem brązowe paski naokoło i wpoprzek dwa razy, tak, aby naśladowały ramy i podzieliły okno na sześć szyb. Pod oknem umieszczono stół i dwa krzesła z takich samych brązowych pasków (fig. 34).



(fig. 34).

Dzieci były zachwycone, a Zosia dodała jeszcze w swoim pokoju dzbanek i dwa kubki, które postawiła na stole i czerwoną roletę w oknie. Henryś, zajęty krajaniem pasków, nie zdążył sobie zrobić pokoju, miał się właśnie do tego zabrać, gdy ciocia wstrzymała go.

— Może wolisz zrobić coś trudniejszego, Henrysiu? co mówisz naprzykład o okręcie?

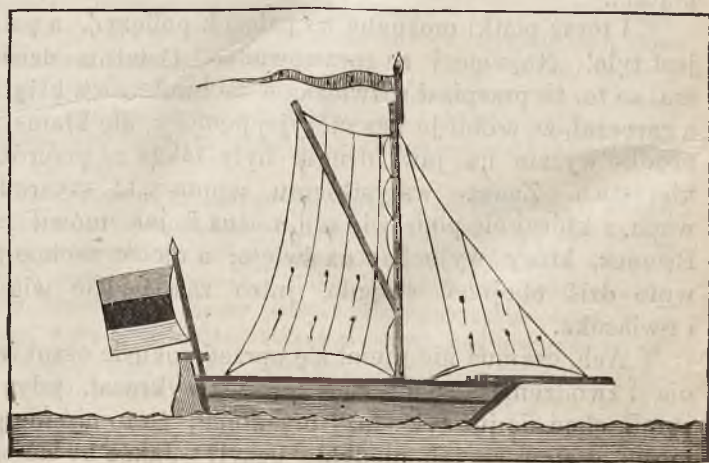
— O chętnie — zawołał chłopczyk. — Z początku nie wierzyłem, żeby pokój się udał, ale teraz myślę, że ciocia wszystko potrafi zrobić.

Ciocia się uśmiechnęła.

— Wszystkiego nie podejmuję się zrobić, ale z okrętem damy sobie jakoś radę. Kadłub, maszty i ster będą z brązowego papieru, żagle z białego, morze z niebieskiego, a flaga z kolorowego, stosownie do narodowości jaką wybieriecie.

— Ciociu, jabym też chciała zrobić okręt — prosiła Zosia.

— Dobrze, ale poproś Henrysia niech ci go narysuje.



(fig. 35).

Stano na tem, że Henryś miał rysować. Zosia wycinać, a Kazio nalepiać. Najpierw przykleił kadłub, potem żagle, maszty, flagę, a w końcu morze powycinane w ząbki, niby fale (fig. 35).

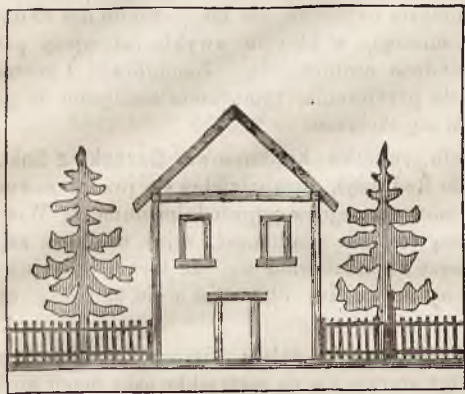
Całość po skończeniu wyglądała bardzo ładnie, zwłaszcza, że Henryś porobił nadto różne linie ołówkiem na żaglach, a na kadłubie przykleił jeszcze ciemniejsze waziotki paseczki brązowe.

— Możecie w ten sposób zrobić dom — poradziła ciocia.

— Czy mogę przy nim umieścić moje dwa drzewa? — spytał Kazio.

— Naturalnie, będą ślicznie wyglądały.

Zosia doradziła jeszcze, żeby po obu stronach zrobić płotek, z brązowych pasków, aby wyglądało, że



(fig. 36).

około domu jest ogród (fig. 36), poczem dzieci poskładały porządnie wszystkie papiery i uściskały serdecznie ciocię.

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Pan Jakób cicho wysunawszy się za drzwi wyszedł na podwórze zamkowe, pogrążony w bardzo smutnych myślach: wymawiał sobie, że całe to nieszczęście stało się z jego winy, za słaby był dla powierzonego sobie młodzieniaszka, ulegał każdej jego prośbie i w owym dniu nieszczęsnym uległ; za daleko zapędził się w step, i okrył żalobą rodzinę całą, cały zamek, bo wszyscy domownicy, wszyscy słudzy, dzielili głęboką boleść swoich panów. A już sam pan Jakób był nieutulony w żalu!

Słońce już zaszło, most zwodzony spuszczone, nie spodziewano się żadnych przyjacielskich odwiedzin, a zamek pana starosty, znajdujący się na samej rubieży kraju, musiał zachowywać pewne ostrożności. Więc i most spuszczano w nocy, i w strzelnicach stały zawsze nabite armatki zamkowe, i stróże nocni obchodzili wały otaczające stare, warowne zamczysko. Smutne rozmyślenia pana Jakóba przerwał odgłos trąbki, oznaczającej przybycie gościa. Głos trąbki odbił się echem o mury, a w serce pana Jakóba uderzył jak młotem.

— O Boże! krzyknął i aż zachwiał się na nogach, toż nutę taką ukochany Janek zwykł był wygrywać na trąbce, wiszącej przy moście!

Spiesznie przebiegł dziedziniec, w bramie przed mostem zwodzonym spotkał chłopaka służebnego, pomieszanego bardzo, który ujrawszy pana Jakóba począł wołać:

— Panie, panie, przed mostem stoi Turek na koniu! otrębuje się przyjaźnie, a gdy mnie zobaczył, zdjął czapkę z wielkim kutasem i skłonił mi się wymachując nią nad głową; bardzo się przestraszyłem tego Turka i przybiegłem tu do pana, co z nim robić? spuścić przecie mostu nie można, bo wejdzie do zamku, a kto wie czy to nie zdrajca jaki, choć przyjaciela udaje, Turkowi wierzyć nie można.

Pan Jakób nie dosłuchał już opowiadania chłopaka, przebiegł bramę, a w głowie mu hucało. Wiadomość od Janka!... wiadomość od Janka!... a kto wie? może — może nawet...

Stanął przed mostem... O cudowna Matko Boska Częstochowska! — wykrzyknął, podnosząc ręce do góry, i począł wołać na czeladź. — Most, spuszczać most, prędzej... prędzej... most spuszczać! Zaskrzypiały i zadzwoniły łańcuchy i zaledwie most opadł z głuchym łoskotem, zatętniły po nim kopyta końskie i w jednej chwili młody, urodziwy Turek leżał w ramionach pana Jakóba.

— Żyjesz? zawołał, przybyły, w którym pewno wszyscy poznali Janka.

— Wracasz?! wykrzyknął pan Jakób, słowa więcej nie mogąc wymówić.

— Dziadek, matka moja? pytał Janek głosem urywanym i przytłumionym od radosnego wzruszenia.

— Żyją w bezustannych łzach i żalobie za tobą.

— Prowadź mnie do nich.

— Wstrzymaj się! raptowna radość nadto ich wstrząśnie, zwłaszcza teraz, gdy przed chwilą wysłańcy powrócili, nie przyniosłszy żadnej wieści.

— Szukaliście mnie?

— Dziś, wróciło dwunaste poselstwo z krajów tatarskich. Pójdę naprzód, przygotuję matkę i dziadka do radości, jaka ich czeka.

Janek rzucił lejce swego konia chłopakowi, a sam z bijącym sercem podążył za panem Jakóbem.

Koń, rozglądał się dokoła rozumnymi oczami, zarżał wesoło, parsknął, rozdał chrapy, wyrzucił głowę w górę i wydarłszy lejce z ręki zdumiałego chłopca, w kilku skokach znalazł się na drodze prowadzącej do stajen i pognał pędem. Gdy chłopak pobiegł do wrót stajenych, koń stał już przy żłobie na dawnym swoim miejscu, które było puste, bo nie było młodego pana i miejsce jego wierzchowca stało nie zajęte.

Tymczasem pan Jakób wszedł do komnaty. Dziadek Janka może drzemał, bo ani się poruszył, ani oczu nie podniósł. Matka zwróciła głowę i spojrzała na stojącego w milczeniu pana Jakóba. Milczał, gdyż w pierwszej chwili nie wiedział od jakich słów miał zacząć obwieśczenie radosnej nowiny, ale spojrzawszy w to bolejące oblicze matki, zalane w tej chwili łzami, ani wiedział kiedy znalazł się u jej stóp.

(d. n.)

ZAGADKA.

Od Puszczyka z Pilawy.

Samotny żyję, we dnie się kryję,
Mój głos źle wróży, w życia podróży,
Oko me w nocy, nabiera mocy,
Krety i myszy, łowię wśród ciszy.

FIGIELEK.



W podanych tu kratkach
Postaw dwie litery
Tak, ażeby razem
Mieścili papiery.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

p. Smoka Waw.

a
a
e e e
e e i i i
j i k k m m o p
r s s s t
t t t
z
z

Z rozsypanych tych liter ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 46.

Szarady: Ka — ra — wa — na.

Łamigłównki w kwadracie:

G r a n a d a
D r a c h m a
W r o c ł a w
C a t t a r o
G l a s g o w
U l i s s e s
K a s z m i r

Łamigłównki zoologiczne:

a n T e r a
r y ś
k o g u t
s t r u ś
b y k
g ł u s z e c

Skrzynka do listów.

Zmartwiłaś mię kochana Stokrotko wiadomością o swej chorobie. Któż widział leżeć tak długo w łóżku, doprawdy to się wcale chwali! Popraw się więc cpedziej moja Stokrotko, aby już na-

stępny liścik twój mówił mi o zupełnem powrocie do zdrowia miłego mi kwiątka. Pojmuję, że pożądaną rozrywkę sprawiłoby ci teraz czytanie „Wieczorów”, cóż kiedy odpowiedziano mi w Redakcyi, że prenumerata opłacona tylko do 1-go października; a ty niezawodnie zapomniałas o tem. Życzę ci jaknajprędzszego powrotu do zdrowia.

Nie dziwię ci się, kochana Wichuro, że chciałabyś raz swobodnie pobujać wśród naszych pięknych Karpat, bo ślicznie tam jest, mogę cię zapewnić. Ostatnie wszakże lato spędziłam nie w górach, lecz przeciwnie, na rozległych równinach, które też mają swój urok i piękno, bo jak słusznie robisz uwagę, że do pór roku, w których starasz się zawsze odnaleść najmiłszą ich stronę, — tak jest też z wielu innymi rzeczami; bylibyśmy tylko chcieli i umieli uznać i ocenić to, co nam obecne warunki dają.

Jakże mylnie sądzisz Polno Różyczko, by mię kiedy listy wasze znudzić mogły; przeciwnie, są mi one zawsze wielce miłe, nawet gdy bywają mniej udatnie napisane, bo czyż mogłabym posądzać pilnych czytelników Wieczorów o brak starania? Proszę więc, pisuj odtąd często, a zrobisz mi tem wielką przyjemność. I u nas już jesień dżdżysta i chłodna, ale nie powinno nas to dziwić, toż mamy listopad miesiąc, w którym zwykle jaśniejszy promień słońca staje się nieledwie osobliwością. Łamigłównki i szaradę złożyłam w Redakcyi do przejrzania, tymczasem zachęcam do pisania innych i pozdrawiam cię szczerze.

Że twoja robótka konkursowa Sarenko z Sokoła przybyła szczęśliwie do Redakcyi, dowiedziałas się już niezawodnie ze sprawozdania, umieszczonego w poprzednim numerze Wieczorów. Bardzo przyjemną jest mi wiadomość, z jak wielkiem zajęciem czytujesz pismo nasze i spodziewam się, że teraz, gdy już większej nabrałaś wprawy w pisanie, obdarzać mnie będziesz częściej swemi liścikami.

Zawód o jakim mi z żalem piszesz Topolko nie z mojej winy pochodzi, gdyż staram się na wszystkie listy mych korespondentów odpisywać jak najszybciej. Przejrzyj więc jeszcze raz ostatni numer, a niezawodnie znajdziesz kilka słów pod swoim adresem. Polepszeniu zdrowia twego tatusia cieszę się wraz z tobą i życzę ci jaknajwięcej przyjemności.

Kochanej Stokrotce za liścik dziękuję. Wyznanie jednak nie dziwi mię wcale, bo twoje lat 12 usprawiedliwia w zupełności upodobanie do czytania powiastek krótszych lub mniej poważnych; nie wątpię jednak, że z czasem i tamte czytać będziesz, gdy pod wpływem nauki umysł twój odpowiednio będzie przygotowany.

Już gotową byłam posadzić, że Mała Literatka zapomniała o mnie zupełnie, w obec swych licznych literackich zajęć. Ale otoż nie! Literatka ma główkę do wszystkiego, ma też i kochające serduszko, które czułą opieką otacza maleńkich swych braciszków, a których poznawszy teraz chociaż tylko z opisu serdecznie pozdrawiam.

Jaskółka.

Łyżwiarce i jej rodzinie przesyłamy pozdrowienia; życzeniu jej pospieszymy uczynić zadość.

Już wielkorotnie przypominaliśmy naszym korespondentem, że łamigłównki, chociażby były najlepsze, drukowane nie będą, gdy nie dołączone są rozwiązania. Może więc J. P. pospieszy naprawić pomyłkę zaszłą niezawodnie z roztargnienia.

Łamigłównki własnego układu przysłali także: Józef W. Sarenka modrooka, Fiołek parmeński, Zajączek z Ukrainy, Smok, Anulka i Czarny rycerz, dobre zaś rozwiązania: Tadzio K., Józef W. Giermek, Marylka, Gwiazdka i Rumiane jabłuszko.

Prenumeratoremie wnoszący całoroczną opłatę rub. 6 tak w Warszawie, jak i na prowincyi za „Ogrodnik polski“ dwutygodnik poświęcony sprawom ogrodnictwa krajowego wprost w Redakcyi, otrzymają premium w nasionach wyborowych odmian i nowości.

Adres Redakcyi: ul. Mazowiecka Nr. 11.